Nowy Bliski Wschód: Koniec wojny w cieniu i kryzys strategii

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje fundamentalną zmianę w geopolityce Bliskiego Wschodu, gdzie tradycyjne starcia armii ustępują miejsca sieciowej 'wojnie w cieniu'. Tekst szczegółowo opisuje ewolucję zagrożeń – od klasycznej 'arabskiej siły' po współczesną infrastrukturę milicji i asymetryczne działania Iranu. Autor zestawia izraelską doktrynę Żelaznego Muru z irańską strategią 'pierścienia ognia', wskazując na wyczerpanie się dotychczasowych modeli zarządzania kryzysem. Bliski Wschód jawi się tu jako przestrzeń rywalizacji geoekonomicznej, w której kontrola nad szlakami handlowymi i zarządzanie rozkładem państwowości stają się kluczowymi narzędziami władzy. Analiza obejmuje również rolę Osi Oporu, pragmatyzm irańskiej polityki oraz wpływ Porozumień Abrahamowych na nową architekturę bezpieczeństwa, w której prawo międzynarodowe bywa traktowane jako instrument polityczny.

This article analyzes the fundamental shift in the geopolitics of the Middle East, where traditional military clashes are giving way to a networked "shadow war." The text details the evolution of threats—from the classic "Arab power" to the modern militia infrastructure and Iran's asymmetric actions. The author contrasts Israel's Iron Wall doctrine with Iran's "Ring of Fire" strategy, pointing to the exhaustion of existing crisis management models. The Middle East is presented as a space of geoeconomic competition, where control over trade routes and managing the disintegration of statehood are becoming key tools of power. The analysis also covers the role of the Axis of Resistance, the pragmatism of Iranian policy, and the impact of the Abraham Accords on a new security architecture in which international law is sometimes treated as a political instrument.

Współczesny Bliski Wschód przestał być areną klasycznych wojen państwowych, przekształcając się w laboratorium nowej ontologii zagrożenia, w której tradycyjne prawo międzynarodowe ustępuje miejsca logice asymetrycznego paraliżu. Artykuł

analizuje, jak Iran za pomocą sieci pełnomocników i „pierścienia ognia” skutecznie eksploatuje próżnię władzy, podczas gdy Izrael, wierny doktrynie Żelaznego Muru, próbuje neutralizować zagrożenia poprzez ciągłą kampanię między wojnami. Tekst obnaża paradoks, w którym technokratyczna sprawność militarna nie idzie w parze z wizją polityczną, a Porozumienia Abrahamowe – choć zmieniają architekturę sojuszy – nie rozwiązują fundamentalnego problemu palestyńskiego. Autor stawia tezę, że region cierpi na nadmiar inteligencji instrumentalnej przy jednoczesnym deficycie odwagi konstytucyjnej. W obliczu eskalacji nuklearnej i erozji wewnętrznej spójności państw, Bliski Wschód dryfuje ku erze administrowania wrogością, gdzie pokój staje się jedynie kosztowną formą przedłużania nieuchronnej katastrofy. To studium przypadku pokazuje, jak dążenie do bezpieczeństwa oparte na czystej sile prowadzi do zbiorowej nieracjonalności, czyniąc z regionu magazyn energii w stanie chronicznego przeciążenia, w którym każdy ruch jest precyzyjnie wyceniony przez księgowych przemocy.

SŁOWA KLUCZOWE

Nowy Bliski Wschód | wojna w cieniu | ontologia zagrożenia | Żelazny Mur | pierścień ognia | Oś Oporu | infrastruktura cienia | zarządzana niestabilność | Porozumienia Abrahamowe | geoekonomia | kampania między wojnami | proliferacja nuklearna | aneksja pełzająca | suwerenność | prawo międzynarodowe

Nowa ontologia zagrożenia: Od wojen państw do sieci cienia

Wyobraźmy sobie twierdzę, która przez dekady ufała wyłącznie twardej materii: zasięgowi artylerii, głębokości betonowych schronów oraz niezmienności własnych granic. Po drugiej stronie wzniesień rozpościerało się jednak imperium, które granice traktowało nie jako metafizyczny fundament, lecz jako formę przejściową i czysto umowną. Zamiast szturmować bramy, postanowiło ono otoczyć twierdzę gęstym łukiem niepewności, zamieniając jej obrzeża w precyzyjny instrument ciągłego nacisku. Ta geopolityczna przypowieść nie jest jedynie literackim ornamentem, lecz stanowi wierny szkic współczesnego Bliskiego Wschodu. Uczy nas ona bowiem, że aby skutecznie zatruć przyszłość

przeciwnika, wcale nie trzeba zdobywać jego miast. Wystarczy sprawić, by każda próba stabilizacji kończyła się fiaskiem, a codzienność stała się zakładnikiem cudzej woli.

Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi zupełnie nową ontologię zagrożenia. W klasycznym modelu izraelskiej strategii bezpieczeństwa głównym niebezpieczeństwem była mityczna „arabska siła", czyli widmo frontalnej wojny prowadzonej przez regularne armie państwowe. Fundamentem tego myślenia był Żelazny Mur, czyli strategia zakładająca, że tylko demonstracja nieugiętej siły zmusi przeciwników do akceptacji istnienia państwa. Jednak po wstrząsach Arabskiej Wiosny region gwałtownie przesunął się z epoki wielkich starć w stronę zarządzania postępującym rozkładem państwowości. Kluczowym przeciwnikiem Izraela przestała być wyłącznie zewnętrzna potęga militarna, a stała się nią próżnia władzy, milicje oraz infrastruktura cienia.

W tej nowej geometrii bezpieczeństwa technologia i dyplomacja nie zniosły problemów strukturalnych, lecz jedynie zmieniły ich miejsce w hierarchii interesów. Na łamach „Dobrego Państwa" konflikt ten trafnie opisano jako bolesne przejście od iluzji zarządzania kryzysem do głębokiego załamania dotychczasowych schematów. Rywalizacja między Rijadem a Teheranem jawi się tutaj nie tylko jako spór ideologiczny, lecz przede wszystkim jako konflikt geoekonomiczny. Dotyczy on kontroli nad szlakami morskimi, przepływem ropy oraz skomplikowanymi sieciami wpływów infrastrukturalnych, które oplatają region niczym pajęczyna. Wszak w świecie, gdzie państwa stają się wydrążonymi strukturami, prawdziwa władza należy do tych, którzy potrafią zarządzać ich ruinami.

Właśnie w tym kontekście należy umieścić koncepcję irańskiego „pierścienia ognia", która nie jest jedynie banalnym hasłem publicystycznym. To syntetyczny opis strategii, w której Teheran maksymalizuje presję poprzez rozbudowaną architekturę pełnomocników, korytarzy logistycznych oraz nowoczesnych programów rakietowych. Funkcja tego mechanizmu jest potrójna: ma on odstraszać przed atakiem na irański program nuklearny oraz zmuszać przeciwnika do kosztownej mobilizacji. Jednocześnie pozwala on Iranowi budować legitymację jako centrum „Osi Oporu", czyli patrona antyzachodniej podmiotowości w całym regionie. Iran nie tyle wypełnia pustkę po upadłych państwach, ile sprawnie ją kapitalizuje, działając niczym bankier w regulacyjnej próżni.

Współczesna recepcja tej strategii staje się coraz mniej orientalizująca, a coraz bardziej skupiona na chłodnej analizie instytucjonalnej i sieciowej. Dawniej próbowano wyjaśniać ekspansję Iranu głównie przez pryzmat tożsamości szyickiej, co było znacznym uproszczeniem rzeczywistych procesów politycznych. Dziś dominuje paradygmat łączący politykę bezpieczeństwa z analizą ekonomii sankcyjnej, zarządzania milicjami oraz asymetrii kosztów operacyjnych. Iran bywa zatem badany bardziej jak sprawne przedsiębiorstwo strategiczne niż jak klasyczna, misyjna teokracja

religijna. To przesunięcie pozwala zrozumieć, dlaczego Teheran potrafi skutecznie oddziaływać daleko poza swoim naturalnym, wyznaniowym rdzeniem, budując sojusze oparte na pragmatyzmie.

„Oś Oporu" nie funkcjonuje wyłącznie jako wspólnota dogmatu, lecz działa jako swoisty rynek broni, prestiżu oraz delegowanego ryzyka. W tej logice Hamas i Hezbollah nie są identycznymi aktorami, lecz stanowią odrębne elementy jednej, spójnej infrastruktury nacisku. Hamas ma za zadanie destabilizować scenę palestyńską, niszcząc tym samym wszelkie warunki dla potencjalnego procesu pokojowego. Hezbollah natomiast pozostaje dla Iranu aktywem odstraszającym najwyższej klasy, mającym zamienić ewentualne uderzenie w kosztowną eksplozję regionalną. To nie jest doktryna pokoju, lecz doktryna zarządzanej niestabilności, w której każdy ruch jest precyzyjnie wyceniony przez księgowych katastrofy.

Wojna w cieniu, czyli model konfliktu opartego na sabotażu i działaniach przez pośredników, przestała być jedynie tłem dla wielkiej polityki. Stała się ona głównym teatrem działań, w którym tradycyjne prawo międzynarodowe nie zawsze działa jak miecz, lecz czasem działa jak dług. W tej rzeczywistości sukcesu nie mierzy się liczbą zdobytych kilometrów kwadratowych, lecz stopniem paraliżu decyzyjnego po stronie przeciwnika. Izrael musi zatem zmierzyć się z faktem, że jego technologiczna przewaga nie wystarcza do zneutralizowania zagrożeń o charakterze rozproszonym. Ostatecznie bowiem to nie romantycy wywołują wszystkie wojny, lecz czasem wywołują je chłodni technokraci przemocy, operujący w cieniu upadłych instytucji.

Koniec wojny w cieniu: Nowa era nuklearnej niepewności

Analiza strategii odstraszania nie może zakładać, że czas w regionie zatrzymał się przed rokiem 2024, bowiem rzeczywistość brutalnie zweryfikowała stare paradygmaty. Bezpośrednia wymiana ognia między Teheranem a Jerozolimą pogrzebała fikcję, według której obie strony miały na zawsze ograniczać się do wojny w cieniu, czyli modelu konfliktu opartego na sabotażu, co pozwalało na unikanie otwartej konfrontacji. Ta gwałtowna eskalacja wymusza porzucenie bezpiecznych założeń o przewidywalności regionalnych aktorów. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi nową ontologię zagrożenia. W tym układzie tradycyjne mechanizmy powstrzymywania stają się anachronizmem wymagającym redefinicji.

Sytuacja skomplikowała się po uderzeniach na instalacje w Fordo, Natanz i Isfahanie w czerwcu 2025 roku, gdy regionalna architektura bezpieczeństwa weszła w fazę skrajnej nieprzejrzystości. Choć MAEA potwierdziła trafienie tych obiektów oraz zaawansowanie programu dysponującego

setkami kilogramów uranu wzbogaconego do 60 procent, późniejsze sygnały o powrocie do rutynowych procedur budzą sceptycyzm. Mówiąc bez retorycznego pudru, świat wie dziś więcej o skali ryzyka niż o rzeczywistej szczelności nadzoru. Tworzy to stan niebezpieczny epistemicznie, w którym brak weryfikacji destabilizuje mocniej niż same arsenały. Najgorsze w proliferacji nie jest to, co już istnieje, lecz to, czego nie da się wiarygodnie potwierdzić. To nie jest doktryna pokoju, lecz doktryna zarządzanej niestabilności.

Żelazny Mur: Strategia zarządzanej niestabilności Izraela

Izrael odpowiada na tę architekturę strategią, która w swojej trwałości niemal dorównuje samej idei państwowości żydowskiej. Słynny „Żelazny Mur" przestał być bowiem jedynie tekstem historycznym, stając się aktywną matrycą izraelskiego rozumu państwowego. Fundament tej doktryny pozostaje brutalnie prosty: dopóki przeciwnik żywi nadzieję na złamanie Izraela, dopóty nie zaakceptuje jego istnienia. Z tego założenia wypływa kult przewagi militarnej, operacji wyprzedzających oraz specyficznej formy odstraszania. To właśnie ta logika legitymizuje funkcjonowanie państwa w stanie permanentnego pogotowia.

Kluczowym narzędziem tej strategii jest kampania między wojnami, czyli praktyka polegająca na prowadzeniu działań militarnych poniżej progu otwartej wojny, co pozwala na systematyczne uderzenia w transfery broni czy sabotaż infrastruktury. To nie jest doktryna pokoju, lecz doktryna zarządzanej niestabilności. Jej sukces mierzy się wyłącznie czasem, o jaki udaje się odsunąć nieuchronną katastrofę. Porażka objawia się zaś w niezdolności do przekucia operacyjnej dominacji w trwały porządek polityczny, przy czym trafnie diagnozowano to jako ryzyko sprowadzenia bezpieczeństwa do „resetu zegara" odstraszania. Właśnie to zjawisko obserwujemy dziś z niemal laboratoryjną, bolesną ostrością.

Paradoks normalizacji: Administrowanie wrogością

Centralna sprzeczność Nowego Bliskiego Wschodu wyrasta z faktu, że Izrael zdołał częściowo przełamać swoją wieloletnią izolację regionalną, nie rozwiązując przy tym żadnego z fundamentalnych dylematów etycznych. Porozumienia Abrahamowe rzeczywiście skruszyły historyczne tabu, dowodząc, że część państw arabskich jest gotowa budować relacje z Jerozolimą na fundamencie wspólnych interesów bezpieczeństwa, technologii i logistyki. Choć tekst deklaracji ocieka klasycznie pokojową retoryką, rzeczywista treść tych układów pozostaje głęboko i

bezwstydnie transakcyjna. Analizy Reutersa oraz raporty czołowych think tanków zgodnie wskazują, że współpraca z Emiratami czy Bahrajnem dawno wykroczyła poza kurtuazyjne uściski dłoni przed kamerami. Izrael został bowiem włączony w regionalną architekturę bezpieczeństwa nie jako moralny partner, lecz jako niezbędny dostawca systemowy. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy; jest nową ontologią zagrożenia, w której pragmatyzm wygrywa z ideologią.

Ten sukces okazał się jednak ograniczony w wymiarze normatywnym, ponieważ normalizacja nie rozwiązała sprawy palestyńskiej, a jedynie przesunęła ją na margines jako kłopotliwy warunek uboczny. W języku ekonomii politycznej można rzec, że Palestyna utraciła status zmiennej decydującej, zachowując jednak w pełni swój status zmiennej destabilizującej. Elity monarchii Zatoki uznały, że chroniczny konflikt nie może dłużej blokować ich ambitnych projektów modernizacyjnych czy bezpieczeństwa energetycznego, lecz społeczne poparcie dla tej kalkulacji pozostało znacznie płytsze niż oficjalne komunikaty. Co więcej, same Porozumienia Abrahamowe okazały się niezwykle wrażliwe na brutalną dynamikę wydarzeń na Zachodnim Brzegu. Już w 2025 roku Reuters odnotowywał wyraźne ostrzeżenia ze strony Zjednoczonych Emiratów Arabskich, że jakakolwiek forma formalnej aneksji może naruszyć nie tylko ducha, ale i praktyczną trwałość tych układów. Palestyna nadal potrafi wysadzić stół, nawet jeśli nie siedzi już przy nim w roli pełnoprawnego gospodarza.

Polityka Izraela na Zachodnim Brzegu nie stanowi zatem lokalnego przypisu do wielkiej historii regionu, lecz jest jej właściwym rdzeniem ustrojowym. Gdy izraelska prawica operuje pojęciem bezpieczeństwa, niemal zawsze ma na myśli konkretną geografię, a mówiąc o geografii, dotyka w istocie samej istoty suwerenności. To tutaj rozstrzyga się pytanie, czy państwo Izrael zdoła utrzymać syntezę żydowskiego samookreślenia z instytucjami liberalnej demokracji, czy też nieuchronnie przesunie się ku modelowi trwałej hierarchii obywatelskiej. Doniesienia Reutersa z lutego 2026 roku o nowych procedurach rejestracji gruntów na Zachodnim Brzegu zostały przez obserwatorów uznane za kolejny milowy krok ku pełzającej aneksji. Równolegle instytucje takie jak ONZ i OCHA dokumentowały narastającą fragmentację przestrzeni palestyńskiej oraz systematyczne przesiedlenia ludności. Nie mamy już do czynienia z akademickim sporem o interpretację map, lecz z głęboką przebudową relacji między prawem, terenem a demografią.

Należy w tym miejscu nazwać rzeczy po imieniu, gdyż współczesny spór o Zachodni Brzeg to w rzeczywistości walka o wykonalność izraelskiej demokracji konstytucyjnej bez formalnej konstytucji. Opinia doradcza Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości z lipca 2024 roku stanowiła w tym procesie moment graniczny, definiując obecność Izraela na tych terenach jako bezprawną. Można oczywiście cynicznie zauważyć, że opinia prawna nie posiada siły rażenia dywizji

pancernej, jednak lekceważenie jej znaczenia byłoby przejawem intelektualnej tandety. Prawo międzynarodowe nie zawsze działa jak miecz, który przecina węzły gordyjskie; znacznie częściej działa jak dług, który z czasem staje się niemożliwy do spłacenia. Ustanawia ono język przyszłej delegitymizacji, która w odpowiednim momencie potrafi przełożyć się na realne sankcje, izolację dyplomatyczną oraz erozję kluczowych sojuszy. To nie jest jedynie spór o paragrafy, lecz o fundamenty przyszłego porządku.

Obecnie region nie funkcjonuje jednak w logice ostatecznego rozwiązania, lecz w logice permanentnego odraczania kryzysu. Arabia Saudyjska pozostaje owym mitycznym klejnotem w koronie ewentualnej normalizacji, ale warunki stawiane przez Rijad po tragicznych wydarzeniach 2023 roku stały się znacznie twardsze. Zarówno oficjalne komunikaty saudyjskie, jak i zakulisowe relacje Reutersa wskazują, że bez wiarygodnej ścieżki do palestyńskiej państwowości pełne porozumienie pozostanie w sferze politycznej fikcji. Nie oznacza to bynajmniej, że dyskretne kanały współpracy wywiadowczej czy wspólne kalkulacje strategiczne nagle wyparowały w pustynnym słońcu. To raczej sygnał, że regionalna geopolityka po raz kolejny zderzyła się z nieprzekraczalną granicą wyznaczaną przez społeczną i polityczną legitymizację. Choć legitymizacja na Bliskim Wschodzie bywa kapryśna i zmienna, rzadko okazuje się całkowitą iluzją, z którą nie muszą liczyć się autokraci.

Pierwsza konkluzja płynąca z tej analizy musi brzmieć ostro: Nowy Bliski Wschód nie jest epoką pokoju, lecz erą wyrafinowanego administrowania wrogością. Iran konsekwentnie buduje wielowarstwowy system presji, którego celem jest odstraszanie Izraela i poszerzanie strefy wpływów bez uciekania się do klasycznej wojny państwowej. Izrael odpowiada na to doktryną aktywnego muru, czyli strategią zakładającą, że tylko demonstracja nieugiętej siły i selektywna przemoc mogą powstrzymać dojrzewanie egzystencjalnych zagrożeń. Problem polega na tym, że owa technokratyczna sprawność militarna nie idzie w parze z żadnym wiarygodnym projektem politycznym dla milionów Palestyńczyków. Porozumienia Abrahamowe otworzyły wprawdzie nowy obieg regionalnych korzyści, lecz w żaden sposób nie rozbroiły starego, zalegającego pod fundamentami materiału wybuchowego. Sprawa palestyńska, choć zdegradowana w agendzie części arabskich elit, pozostaje ostatecznym testem trwałości całego porządku i jego moralnej nośności.

Właśnie dlatego współczesny Bliski Wschód w niczym nie przypomina przejrzystej szachownicy, na której figury poruszają się według czytelnych reguł. Region ten znacznie bardziej przypomina magazyn energii w stanie chronicznego przeciążenia, gdzie każda próba stabilizacji systemu generuje nowe napięcia. Kto patrzy wyłącznie na mapę sojuszy, ten nie dostrzega niebezpiecznego drżenia kabli; kto widzi tylko emocje, ten ignoruje twardą architekturę sieci przesyłowych. Prawo międzynarodowe, pozbawione mechanizmów egzekucji, zamienia się tu w ciche akta oskarżenia,

których termin płatności został jedynie odroczony w czasie. Ostatecznie ci, którzy wierzą wyłącznie w nagą siłę, zwykle zbyt późno odkrywają bolesną prawdę o granicach militarnej sprawczości. Siła, która nie potrafi domknąć konfliktu za pomocą trwałych rozwiązań politycznych, staje się bowiem jedynie elegancką i niezwykle kosztowną formą przedłużania nieuchronnej katastrofy.

Kryzys konstytucyjny: Dlaczego Izrael traci spójność wewnętrzną

Izrael od dekad funkcjonuje w stanie permanentnego, dwutorowego napięcia, w którym spór o przebieg granic jest jedynie zewnętrznym cieniem znacznie głębszej walki o własną definicję ustrojową. Przez dziesięciolecia formuła „państwa żydowskiego i demokratycznego" służyła jako stabilny fundament legitymizacji, lecz dziś to współistnienie ewoluowało w kryzys konstytucyjny bez konstytucji, czyli sytuację, w której brak formalnej ustawy zasadniczej zmienia każdy spór instytucjonalny w zagrożenie egzystencjalne. Współczesna debata naukowa słusznie identyfikuje tę sytuację nie jako zwykły konflikt partyjny między prawicą a lewicą, lecz jako batalię o samą możliwość trwałego arbitrażu między tożsamością etniczną a liberalizmem instytucjonalnym. W tej nowej rzeczywistości architektura państwa staje się głównym teatrem starcia, co oznacza bolesne przejście od zarządzania zagrożeniem zewnętrznym do konfrontacji z kryzysem rdzenia politycznego. To właśnie tutaj, w samym centrum systemu, konstrukcja zaczyna trzeszczeć pod ciężarem nierozwiązanych sprzeczności, które przestały być jedynie domeną akademickiej retoryki.

Nie jest to bynajmniej abstrakcyjne ćwiczenie dla uczestników seminariów z teorii państwa, lecz konflikt o wymiernych kosztach społecznych, fiskalnych oraz strategicznych. Reformy sądownictwa forsowane przez obóz rządzący w 2023 roku uruchomiły największą falę protestów w dziejach kraju, ponieważ znaczna część społeczeństwa odczytała je jako próbę demontażu jedynego skutecznego mechanizmu hamującego władzę parlamentarnej większości. Choć doraźna intensywność ulicznych manifestacji mogła ulec zmianie, spór ten przeszedł w stan chroniczny, trwale modyfikując wewnętrzną chemię i odporność państwa. W literaturze porównawczej Izrael coraz częściej zestawia się z systemami, w których demokracja wyborcza zachowuje swoje formalne ramy, ale traci zdolność do instytucjonalnego samoograniczania i ochrony mniejszości. Dla elit bezpieczeństwa ten zwrot jest czytelnym ostrzeżeniem, że państwo może przegrać swoją przyszłość nie na odległych granicach, lecz we własnym centrum normatywnym.

Najbardziej drażliwy wymiar tego pęknięcia dotyczy jednak nie abstrakcyjnej teorii prawa, lecz twardej i nieubłaganej demografii politycznej. Jeżeli rosnący udział społeczności ultraortodoksyjnych oraz trwała marginalizacja sektora arabskiego będą nadal łączyć się z rażąco

nierównym rozkładem służby wojskowej i obciążeń podatkowych, izraelski model reprodukcji państwa stanie przed widmem nieuchronnego załamania. Z perspektywy ekonomii instytucjonalnej należy postawić pytanie, czy możliwe jest długofalowe utrzymanie gospodarki wysokich technologii i ogromnych wydatków obronnych przy jednoczesnym erodowaniu fundamentów kontraktu społecznego. Nie jest to bynajmniej argument wymierzony w konkretne grupy, lecz chłodna kalkulacja dotycząca granic systemu, w którym ciężar obywatelstwa spoczywa na barkach relatywnie malejącej i coraz bardziej przeciążonej większości. To argument przeciwko niebezpiecznej iluzji, że nowoczesne państwo może trwać w globalnej awangardzie, podczas gdy jego wewnętrzna struktura obciążeń ulega postępującej asymetrii.

W tym kontekście hasło „Start-up Nation" odsłania dziś swój głęboki paradoks, funkcjonując zarazem jako błyskotliwa marka eksportowa i maska dla pogłębiających się słabości politycznych. Branding państwa potrafi skutecznie przyciągać kapitał, ale nie jest w stanie w nieskończoność odraczać rachunku, który wystawia rzeczywistość, gdy słabnie zaufanie do instytucji prawnych i przewidywalności systemu. Gospodarka oparta na kapitale ludzkim i globalnej integracji wymaga poziomu spójności obywatelskiej, którego obecny kryzys systematycznie pozbawia izraelski organizm państwowy. Gdy te warunki słabną, nawet najbardziej podziwiany model gospodarki bezpieczeństwa zaczyna przypominać system żywiący się własnym napięciem, zamiast je neutralizować. Technologia jest bowiem jedynie mnożnikiem zdolności, a nie substytutem ładu politycznego, co czyni ją narzędziem zarządzania kosztami, a nie trwałym rozwiązaniem dla rozchwianego fundamentu.

Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy; jest nową ontologią zagrożenia, w której największe niebezpieczeństwo płynie z erozji wewnętrznej spójności państwa. Kiedy Żelazny Mur, czyli doktryna zakładająca, że tylko demonstracja nieugiętej siły militarnej zmusi wrogów do akceptacji istnienia Izraela, przestaje być wspierany przez jednolity front wewnętrzny, strategiczna głębia narodu zaczyna gwałtownie maleć. Nie romantycy wywołują wszystkie wojny, czasem wywołują je księgowi katastrofy, którzy w swoich kalkulacjach pominęli koszt rozpadu więzi społecznych na rzecz doraźnych korzyści politycznych. Ostatecznie spójność obywatelska okazuje się zasobem równie krytycznym co najnowocześniejsze systemy obrony przeciwrakietowej, a jej deficyt może stać się barierą nie do przebicia dla dalszego rozwoju. Wyzwanie polega więc na tym, by zrozumieć, że bez stabilnego ładu normatywnego, nawet najbardziej innowacyjna architektura przymusu staje się jedynie kruchą i kosztowną dekoracją.

Palestyński punkt krytyczny: między rozkładem a radykalizmem

Na tym tle sprawa palestyńska jawi się nie jako zakurzony relikt minionej epoki, lecz jako nierozwiązany, pulsujący rdzeń nowej rzeczywistości. Przez lata znacząca część zachodniego komentariatu ulegała wygodnemu złudzeniu, że Palestynę można bezkarnie przesunąć na margines wielkiej historii, podczas gdy region wejdzie na ścieżkę pragmatycznej normalizacji. Rzeczywiście, na poziomie salonów i gabinetów elity państwowe dokonały tego przesunięcia, niemniej w sensie głębszym nastąpiło zjawisko znacznie bardziej ryzykowne. Palestyna przestała być wprawdzie warunkiem wstępnym regionalnej dyplomacji, ale wciąż pozostaje nieubłaganym warunkiem granicznym legitymizacji jakiegokolwiek ładu. To właśnie dlatego Porozumienia Abrahamowe, czyli układy normalizujące relacje Izraela z częścią państw arabskich, oparte na wspólnych interesach, okazały się jednocześnie realnym przełomem i projektem strukturalnie niepełnym. Otworzyły one wprawdzie nową przestrzeń dla technologii i bezpieczeństwa, lecz nie zdołały zamknąć kwestii, która wciąż kompromituje moralny język regionu i destabilizuje polityczne kalkulacje. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz staje się nową ontologią zagrożenia.

Sama sprawa palestyńska znajduje się dzisiaj w stanie głębokiego rozkładu politycznego, który obserwatorzy zbyt często i zbyt chętnie mylą z jej ostateczną nieistotnością. Jest to błąd kosztowny, bowiem Autonomia Palestyńska utraciła lwią część swojej legitymizacji w oczach tych, których teoretycznie powinna reprezentować. Instytucja ta powstała wszak jako instrument przejścia ku pełnej państwowości, a tymczasem została zredukowana do roli aparatu administrującego niedokończoną i upokarzającą zależnością. Im dłużej brakowało wiarygodnego postępu politycznego, tym bardziej AP stawała się w odbiorze społecznym strukturą pośredniczącą między okupacją a codziennym zarządzaniem biedą oraz kontrolą. Można to zdiagnozować jako tragiczne przejście od iluzji procesu pokojowego do dojmującej pustki reprezentacji, w której nikt już nie czuje się słyszany. To właśnie w tej próżni radykalizm nie tyle odnosi spektakularne zwycięstwo ideowe, ile po prostu kolonizuje przestrzeń pozostałą po całkowitym rozpadzie wiary w procedury.

Postać Mahmuda Abbasa stanowi niemal podręcznikową figurę tej postępującej erozji, przy czym problem nie sprowadza się wyłącznie do jego wieku czy rekordowej długości rządów. Prawdziwy dramat polega na tym, że system sukcesji pozostaje niejasny, a społeczna legitymacja elity z Ramallah jest dziś dramatycznie, niemal krytycznie ograniczona. W badaniach nad systemami autorytarnymi taki stan opisuje się jako zablokowaną sukcesję, czyli moment, w którym trwanie lidera pozornie gwarantuje spokój, lecz w rzeczywistości kumuluje energię przyszłego wybuchu.

Gdy instytucje są słabe, a broń krąży w społeczeństwie znacznie gęściej niż zaufanie do władzy, odejście przywódcy nie otwiera zwykle cywilizowanej procedury, lecz brutalne pole walki. Na Zachodnim Brzegu to ryzyko jest dodatkowo potęgowane przez rosnącą autonomię lokalnych grup zbrojnych oraz klanowe mechanizmy bezpieczeństwa, które karmią się chaosem. Nie romantycy wywołują wszystkie wojny; czasem wywołują je po prostu księgowi katastrofy, którzy zbyt długo ignorowali koszty zaniechania.

Strategiczny dług: Jak rozłam palestyński stał się pułapką

Hamas rozumie reguły tej gry znacznie lepiej, niż chcieliby to przyznać zewnętrzni obserwatorzy, często będący więźniami własnych, zbyt prostych schematów myślowych. Zbyt chętnie postrzegamy tę organizację albo jako irracjonalną maszynę do generowania terroru, albo jako czysto reaktywny produkt uboczny izraelskiej okupacji. Obie te narracje są niebezpiecznie wygodne, ponieważ zdejmują z nas intelektualny obowiązek analizy Hamasu jako aktora strategicznego, posiadającego własną, choć moralnie przerażającą racjonalność. Pod wodzą Jahji Sinwara ruch ten porzucił jałowe próby godzenia roli administratora Gazy z etosem zbrojnego oporu, powracając do logiki, w której wojna nie jest jedynie krwawym przypisem do polityki. Dla Sinwara wojna stała się polityką samą w sobie, jedynym narzędziem zdolnym do rozbicia skostniałego status quo i wymuszenia nowej hierarchii. Celem nie było wyłącznie zadanie Izraelowi bolesnego ciosu, lecz kompromitacja Autonomii Palestyńskiej i odzyskanie monopolu na reprezentowanie sprawy palestyńskiej poprzez radykalną ofiarę.

W tym świetle wieloletnia izraelska strategia podsycania palestyńskiego rozłamu jawi się jako podręcznikowy przykład taktycznego triumfu, który w dłuższej perspektywie zrodził strategiczną katastrofę. Benjamin Netanjahu oraz izraelska prawica przez dekady czerpali korzyści z faktu, że Hamas władał Gazą, podczas gdy Fatah tracił wiarygodność na Zachodnim Brzegu. Podzielony przeciwnik był idealnym alibi dyplomatycznym, pozwalającym na skuteczne powtarzanie mantry o braku wiarygodnego partnera do jakichkolwiek rozmów pokojowych. Jednak fragmentacja wroga, co boleśnie pokazała historia, rzadko bywa tożsama z jego neutralizacją, a znacznie częściej staje się inkubatorem niekontrolowanej agresji. Podczas gdy jeden obóz słabł administracyjnie, drugi dojrzewał w izolacji do wybuchu spektakularnej przemocy, której nie dało się już zamknąć w granicach Gazy. Izrael zaciągnął w ten sposób potężny dług strategiczny, wierząc naiwnie, że zarządzana niestabilność jest tańsza niż jakiekolwiek realne rozwiązanie polityczne.

Dzisiejsza dynamika na Zachodnim Brzegu odsłania ten mechanizm z brutalną precyzją, której nie sposób już ignorować pod osłoną retoryki bezpieczeństwa. Dla istotnej części izraelskiego establishmentu terytorium to przestało być przedmiotem tymczasowego sporu, stając się przestrzenią systematycznego domykania suwerenności narodowej. Palestyńczycy widzą w tym procesie, wspieranym przez machinę administracyjną, niszczenie materialnych fundamentów ich przyszłej państwowości i prawa do samostanowienia. Doniesienia Reutersa o decyzjach gabinetu z lutego 2026 roku dotyczących rejestracji gruntów są przez stronę palestyńską interpretowane jako ostateczny krok ku aneksji de facto. Nie mamy tu do czynienia z nagłym wybuchem przemocy, lecz z procesem cichej redystrybucji przestrzeni, prowadzonej pod osłoną biurokratycznego języka i legalizacji administracyjnej. To nie jest doktryna pokoju, to raczej nowa ontologia zagrożenia, w której każdy metr ziemi staje się polem bitwy o przetrwanie.

Prawo międzynarodowe, zazwyczaj ociężałe i powściągliwe, zaczyna reagować na te zmiany z coraz większą surowością i doktrynalną jasnością. Opinia doradcza Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości z lipca 2024 roku stanowiła tu moment przełomowy, jednoznacznie uznając dalszą obecność Izraela na terytoriach okupowanych za bezprawną. Można oczywiście toczyć jałowe spory o realną sprawczość polityczną takich werdyktów, jednak ich znaczenie dogmatyczne dla globalnego porządku jest niemożliwe do podważenia. Trybunał brutalnie skonfrontował dyplomatyczny język o tymczasowości okupacji z twardymi realiami osadnictwa oraz trwałych zmian instytucjonalnych wprowadzanych przez Izrael. W systemach prawnych liczy się nie tylko fizyczna przemoc, lecz przede wszystkim trwałość i intencjonalność praktyki, która coraz wyraźniej przypomina reorganizację przestrzeni. Jeśli rzeczywistość coraz mocniej przeczy deklaracjom o przejściowym charakterze kontroli, to argumenty o bezpieczeństwie zaczynają brzmieć jak akt retorycznego samozachwytu.

Koszty społeczne i humanitarne tej dynamiki stają się danymi, których nie da się już zbyć prostą formułą o tragicznej złożoności konfliktu. Według raportów ONZ z marca 2026 roku ekspansja osadnicza oraz towarzysząca jej przemoc zmusiły do ucieczki ponad 36 tysięcy Palestyńczyków w zaledwie dwanaście miesięcy. Dane OCHA za pierwszy kwartał 2026 roku są jeszcze bardziej alarmujące, wskazując na dynamikę przesiedleń, która już teraz przewyższa statystyki z całego poprzedniego roku. Oczywiście, w obliczu statystyk wojennych należy zachować zdrowy sceptycyzm metodologiczny i zawsze weryfikować definicje stosowane przez poszczególne agencje międzynarodowe. Niemniej jednak skala i powtarzalność tych trendów są zbyt wyraźne, by traktować je jako nieistotny margines wielkiej polityki czy błąd w sztuce. W języku socjologii przemocy oznacza to bowiem ostateczne przejście od odosobnionego incydentu do trwałego, systemowego wzorca, który definiuje nową rzeczywistość.

Pułapka instrumentalnej inteligencji i kryzys nuklearnej przejrzystości

W tym miejscu nieuchronnie pojawia się pytanie o Porozumienia Abrahamowe, czyli układy normalizujące relacje Izraela z częścią państw arabskich, oraz o ich rzeczywistą, strukturalną trwałość. Nie należy ich w żadnym razie deprecjonować, gdyż były i pozostają one wydarzeniem geopolitycznie doniosłym, zmieniającym samą tkankę regionalnych zależności. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi nową ontologię zagrożenia, w której tradycyjne linie podziału ustępują miejsca pragmatycznym kalkulacjom bezpieczeństwa. Porozumienia te umożliwiły Izraelowi wejście znacznie głębiej w architekturę bezpieczeństwa regionu, rozszerzyły horyzont współpracy technologicznej i symbolicznie złamały znaczną część dawnego, skostniałego ostracyzmu. Niemniej jednak ich immanentne ograniczenie okazuje się dziś równie istotne, co ich początkowy, spektakularny sukces wizerunkowy.

Arabia Saudyjska konsekwentnie i z dużą dozą dyplomatycznego chłodu utrzymuje, że nie znormalizuje stosunków z Izraelem bez powstania suwerennego państwa palestyńskiego. Reuters odnotował tę nieprzejednaną linię zarówno w lutym 2025 roku, jak i w miesiącach późniejszych, gdy Rijad z naciskiem podkreślał, że bez wiarygodnego rozwiązania kwestii palestyńskiej oraz trwałego wyciszenia wojny w Gazie nie ma mowy o pełnym przełomie. Oznacza to w praktyce, że geopolityka regionu pozostaje zakładnikiem nie tylko czystej siły militarnej, lecz także progu politycznej przyzwoitości, poniżej którego nawet najchłodniejsi gracze wolą nie schodzić w sferze publicznej. To nie jest doktryna pokoju, lecz raczej doktryna zarządzanej niestabilności, w której każdy ruch na szachownicy musi uwzględniać ciężar historycznych zobowiązań. Wszak nawet najbardziej transakcyjne podejście do polityki zagranicznej nie jest w stanie całkowicie wymazać sentymentów ulicy arabskiej, które dla saudyjskiej monarchii pozostają istotnym czynnikiem legitymizacji władzy.

Tu właśnie zamyka się drugi krąg niniejszej analizy, obnażając fundamentalną niemożność przełamania obecnego status quo. Izrael nie jest w stanie rozwiązać problemu palestyńskiego wyłącznie poprzez miażdżącą przewagę wojskową i administracyjną fragmentację terytoriów, gdyż każda próba siłowego domknięcia tego rozdziału rodzi jedynie nową formę oporu. Z drugiej strony Palestyńczycy nie mogą odzyskać podmiotowości poprzez postępujący rozpad własnej reprezentacji politycznej oraz destrukcyjny kult przemocy, który spycha ich sprawę na margines cywilizowanego dialogu. Państwa arabskie nie zbudują nowego, stabilnego ładu regionalnego, jeśli będą traktować Palestynę jedynie jako niewygodną, irytującą zmienną w wielkim arkuszu kalkulacyjnym swoich interesów narodowych. Iran natomiast nie przestanie korzystać z tej strategicznej próżni, dopóki

sprawa palestyńska będzie jednocześnie realnym cierpieniem, symbolicznym paliwem dla mas i skutecznym narzędziem delegitymizacji państwa Izrael.

To jest właśnie gorzka logika Nowego Bliskiego Wschodu, gdzie każdy aktor twierdzi, że działa w sposób skrajnie realistyczny, a suma ich partykularnych realizmów produkuje system coraz mniej zdolny do wypracowania realistycznego pokoju. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem zbiorowej nieracjonalności, w którym logiczne decyzje poszczególnych państw sumują się w destrukcyjny i chaotyczny wynik dla całego układu regionalnego. Każdy z graczy optymalizuje swoje zyski w krótkiej perspektywie, nie zauważając, że fundamenty, na których stoją, ulegają systematycznej erozji. W języku socjologii przemocy oznacza to przejście od incydentu do wzorca, gdzie konflikt nie jest już anomalią, lecz stałym elementem krajobrazu politycznego. Nie romantycy wywołują wszystkie wojny w tym regionie; czasem wywołują je księgowi katastrofy, którzy w swoich wyliczeniach pominęli koszt ludzkiego gniewu i historycznej pamięci.

Najmocniejsza teza źródłowa, którą warto w tym miejscu postawić i konsekwentnie bronić, brzmi następująco: region nie cierpi dziś przede wszystkim na niedostatek siły, lecz na nadmiar taktyki i dotkliwy niedobór przyszłości. Iran posiada dopracowaną strategię zużywania przeciwnika, Izrael zaś opiera się na strategii odstraszania, zakorzenionej w koncepcji Żelaznego Muru, zakładającej, że tylko demonstracja nieugiętej siły wymusi akceptację jego istnienia. Hamas realizuje strategię permanentnej eskalacji, podczas gdy część państw arabskich stawia na strategię transakcyjnej normalizacji, licząc na wymierne korzyści gospodarcze. Oficjalna scena palestyńska ogranicza się natomiast do strategii przetrwania bez jakiegokolwiek konstruktywnego projektu politycznego. Każda z tych racjonalności jest w pełni zrozumiała we własnym, hermetycznym języku, jednak wszystkie razem tworzą porządek, w którym nie istnieje żadna instancja zdolna przekuć przewagę operacyjną w trwały porządek polityczny.

Bliski Wschód nie jest dziś bynajmniej polem braku inteligencji, lecz wręcz przeciwnie – jest polem nadprodukcji inteligencji instrumentalnej przy jednoczesnym, dramatycznym niedoborze odwagi konstytucyjnej. Poprzednie ogniwa analizy prowadziły nas przez kryzys izraelskiej tożsamości, rozpad palestyńskiej reprezentacji i ograniczoną nośność Porozumień Abrahamowych, lecz teraz musimy wejść w samo jądro mechanizmu strategicznego. Współczesny Bliski Wschód nie jest bowiem tylko areną konfliktów równoległych, lecz systemem naczyń połączonych, w którym Zachodni Brzeg, Gaza, południowy Liban, Syria oraz irański program nuklearny tworzą jedną, wspólną matrycę ryzyka. To właśnie dlatego pojęcie "Pierścienia Ognia" posiada tak wielką siłę eksplanacyjną, gdyż nie opisuje ono pojedynczego frontu, lecz całą architekturę przymusu. Iran próbuje w ten sposób znieść własną geograficzną odległość od Izraela, delegując ogień na obrzeża przeciwnika i wykorzystując ruiny upadłych państw jako nośniki własnej strategii.

W tej skomplikowanej sieci Hezbollah zajmuje pozycję szczególną i absolutnie kluczową dla zrozumienia dynamiki regionu. O ile Hamas jest dla Teheranu użytecznym, choć czasem nieprzewidywalnym zapalnikiem, o tyle Hezbollah pozostaje głównym aktywem odstraszającym o najwyższej wartości strategicznej. Współczesna literatura przedmiotu coraz rzadziej ujmuje go wyłącznie jako partyzantkę lub klasyczną organizację terrorystyczną, skłaniając się ku analizie Hezbollahu jako hybrydowej armii politycznej. Jest to struktura zdolna do prowadzenia zaawansowanych działań rakietowych, dronowych i psychologicznych, a zarazem głęboko wpisana w państwową i społeczną tkankę Libanu. W praktyce oznacza to, że ewentualny izraelski atak na program nuklearny Iranu nie jest już pytaniem o relację Tel Awiw–Teheran, lecz o to, czy Izrael gotów jest uruchomić całą sekwencję niszczycielskich odpowiedzi od Bejrutu po Damaszek. Stąd bierze się niemal zimnowojenny charakter tej relacji, gdzie każdy z aktorów doskonale rozumie koszt pełnego uwolnienia własnych możliwości destrukcyjnych.

Ta paradoksalna logika została zarazem potwierdzona i brutalnie naruszona przez gwałtowne wydarzenia roku 2025. Została potwierdzona, ponieważ dalszy rozwój irańskiego programu nuklearnego nadal działał jako centralny motor odstraszania i prewencji, zmuszając adwersarzy do ogromnej powściągliwości. Została jednak naruszona, gdyż doszło do bezpośrednich uderzeń na irańskie obiekty, co otworzyło nową, niebezpieczną fazę sporu o to, co naprawdę zniszczono, a czego nie da się już wiarygodnie monitorować. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (IAEA) potwierdzała w czerwcu 2025 roku, że uderzenia objęły Natanz oraz inne kluczowe obiekty, przy czym jej komunikaty były uderzająco dwuznaczne. Podkreślały one skalę szkód infrastrukturalnych, ale jednocześnie przyznawały, że ocena opierała się na danych pośrednich i zdjęciach satelitarnych, nie zaś na swobodnym dostępie inspektorów do miejsc ataku.

Równolegle IAEA przypominała z niepokojem, że Iran pozostaje jedynym państwem nieposiadającym broni jądrowej, które produkuje i gromadzi uran wzbogacony do poziomu 60 procent. Brytyjskie opracowanie parlamentarne z czerwca 2025 roku odnotowywało z kolei, że całkowity zapas wzbogaconego uranu przekraczał już wielokrotnie limity dawnego porozumienia JCPOA, co czyniło powrót do dyplomatycznego status quo ante praktycznie niemożliwym. To prowadzi do wniosku, który dla wielu komentatorów i polityków jest skrajnie niewygodny: w wojnie o program nuklearny nie chodzi wyłącznie o fizyczne niszczenie wirówek czy podziemnych hal. Chodzi przede wszystkim o kontrolę nad wiedzą o stanie programu i o panowanie nad narracją dotyczącą jego zaawansowania. Sukces operacyjny, mierzony liczbą zniszczonych instalacji, nie musi wcale oznaczać sukcesu strategicznego, jeśli po ataku gwałtownie rośnie niepewność co do lokalizacji zapasów i stopnia decentralizacji infrastruktury.

Stąd znaczenie dokumentów IAEA po czerwcu 2025 roku jest podwójne i głęboko niepokojące dla stabilności globalnej. Mówią one jednocześnie o realnych stratach materialnych irańskiego programu i o realnym, głębokim kryzysie przejrzystości, który uniemożliwia jakąkolwiek racjonalną weryfikację. W świecie proliferacji broni masowego rażenia to wyjątkowo zła kombinacja, gdyż państwo może być chwilowo osłabione materialnie, a jednocześnie paradoksalnie wzmocnione politycznie przez samą niepewność, jaką narzuca swojemu przeciwnikowi. Prawo międzynarodowe nie zawsze działa w takich przypadkach jak miecz, który rozcina węzeł gordyjski; czasem działa jak dług, który narasta i którego nikt nie jest w stanie spłacić bez ryzyka całkowitego bankructwa systemu. Ostatecznie Bliski Wschód pozostaje uwięziony w pułapce własnej inteligencji, gdzie każda próba wyjścia z impasu jedynie pogłębia stan strategicznego paraliżu.

Pułapka Zachodniego Brzegu: Dlaczego okupacja osłabia Izrael

W tym właśnie punkcie powraca fundamentalny dylemat Zachodniego Brzegu, który często bywa błędnie postrzegany jako odizolowany problem lokalny. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że izraelska polityka wobec terytoriów okupowanych oraz egzystencjalna wojna z Iranem to dwie zupełnie różne skale konfliktu. W rzeczywistości oba te procesy są ze sobą nierozerwalnie sprzężone w ramach jednej, skomplikowanej architektury bezpieczeństwa. Każde przyspieszenie akcji osadniczej oraz każdy krok w stronę de facto aneksji stanowi w istocie bezcenny prezent strategiczny dla decydentów w Teheranie. Iran nie musi bowiem wygrywać skomplikowanych sporów prawnych ani moralnych na arenie międzynarodowej. Wystarczy, że może on wskazywać na Izrael jako na państwo, które własnymi rękami tworzy warunki dla swojej postępującej delegitymizacji.

Dane płynące z terenu potwierdzają, że mamy do czynienia z przejściem od pojedynczego incydentu do trwałego wzorca postępowania. Reuters informował w lutym 2026 roku o kontrowersyjnej decyzji izraelskiego gabinetu dotyczącej masowej rejestracji gruntów na Zachodnim Brzegu. Palestyńczycy jednoznacznie nazwali ten ruch ostatecznym krokiem ku aneksji, a organizacja Peace Now ostrzegała przed masowym pozbawianiem ludności praw do ziemi. Już w marcu 2026 roku ONZ raportowała o ponad 36 tysiącach osób przesiedlonych w ciągu zaledwie dwunastu miesięcy. Biuro OCHA odnotowało przy tym, że tempo wysiedleń w pierwszym kwartale 2026 roku przekroczyło już statystyki z całego poprzedniego roku. Te liczby nie są jedynie suchym zapisem tragedii humanitarnej, lecz stanowią twarde dane o charakterze wybitnie strategicznym.

Im głębiej Izrael brnie w model trwałej kontroli bez realnego wyjścia politycznego, tym trudniej jest państwom arabskim uzasadniać proces normalizacji przed własnymi społeczeństwami. W takim układzie Iranowi znacznie łatwiej przychodzi utrzymywanie roli nominalnego i jedynego rzecznika tak zwanego oporu. Dlatego Porozumienia Abrahamowe, czyli układy normalizujące relacje Izraela z częścią państw arabskich, należy czytać jako projekt wybitnie warunkowy. Choć sama deklaracja z 2020 roku miała charakter optymistyczny, to brutalna rzeczywistość wojny w Gazie i eskalacja na Zachodnim Brzegu zmieniły reguły gry. Arabia Saudyjska wielokrotnie podkreślała w 2025 roku, że nie ustanowi pełnych relacji dyplomatycznych bez wiarygodnej ścieżki do państwowości palestyńskiej. Geopolityka zbliżenia pozostaje zatem zakładnikiem polityki okupacji w stopniu znacznie większym, niż chciałyby to przyznać elity nastawione wyłącznie na zysk transakcyjny.

Również recepcja naukowa tego skomplikowanego stanu rzeczy ulega obecnie bardzo wyraźnej i znaczącej transformacji. Jeszcze kilka lat temu modne było ryzykowne twierdzenie, że konflikt izraelsko-palestyński przestał być główną osią regionalnego układu sił. Sugerowano wówczas, że został on skutecznie wypchnięty przez rywalizację z Iranem oraz globalną transformację energetyczną państw Zatoki. Dziś jednak coraz wyraźniej widać, że był to opis co najwyżej częściowo prawdziwy, a przez to intelektualnie niepełny. Owszem, sprawa Palestyny utraciła swój dawny monopol na definiowanie wszystkich procesów zachodzących w tym regionie. Nie utraciła jednak swojej unikalnej zdolności do gwałtownego zakłócania nowo powstających porządków politycznych i gospodarczych.

Współczesny paradygmat badawczy przesuwa się zatem od narracji o końcu centralności Palestyny ku koncepcji tak zwanej zmienionej centralności. W tym ujęciu kwestia palestyńska nie blokuje już automatycznie każdego możliwego układu, ale nadal wyznacza jego nieprzekraczalne granice legitymizacyjne. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi nową ontologię zagrożenia dla wszystkich graczy. Badacz porusza się właśnie w tym znacznie bardziej dojrzałym i pozbawionym złudzeń paradygmacie analitycznym. Nie przecenia on sprawy palestyńskiej jako jedynego klucza do regionu, ale też nie daje się zwieść modzie na tezę o jej całkowitym pominięciu. Taka postawa pozwala uniknąć błędów, które często popełniają księgowi katastrofy, wywołujący wojny przez błędne kalkulacje kosztów.

Na poziomie prawa międzynarodowego sytuacja stała się w ostatnich latach wyjątkowo gęsta i trudna dla izraelskiej dyplomacji. Opinia doradcza Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości z lipca 2024 roku jednoznacznie stwierdziła, że obecna forma izraelskiej obecności na terytoriach okupowanych jest bezprawna. Trybunał uznał, że polityka osadnicza oraz eksploatacja zasobów naturalnych naruszają najbardziej podstawowe normy porządku światowego. Można oczywiście argumentować, że opinia doradcza nie posiada bezpośrednich mechanizmów przymusu ani

natychmiastowej egzekucji. Niemniej jednak w wielkiej polityce międzynarodowej normy nie działają wyłącznie jak ostry miecz sprawiedliwości. Prawo międzynarodowe nie zawsze działa jak miecz, bowiem czasem działa ono po prostu jak dług, który trzeba kiedyś spłacić.

Dla Izraela oznacza to rosnące ryzyko, że krótkoterminowa skuteczność militarna zostanie ostatecznie okupiona długofalową erozją jego pozycji normatywnej. Państwo może przez pewien czas skutecznie lekceważyć takie procesy, lecz globalny rynek dyplomatyczny posiada zazwyczaj bardzo długą pamięć. Z kolei dla Iranu ta sytuacja stwarza idealną możliwość dalszego żerowania na sprzecznościach między zachodnim językiem prawa a praktyką wspierania bezpieczeństwa. Teheran wykorzystuje każdy dowód na niespójność zachodnich standardów, aby budować własną narrację o hipokryzji dotychczasowego porządku światowego. W ten sposób lokalny spór o ziemię staje się paliwem dla globalnej rywalizacji o rząd dusz i polityczne wpływy w całym regionie.

Pułapka racjonalności: dlaczego Bliski Wschód nie potrafi wyjść z wojny

Najbardziej przejmująca cecha współczesnego układu sił polega na tym, że każdy z kluczowych aktorów działa w sposób w pełni racjonalny w swoim własnym języku strategicznym, podczas gdy całość systemu nieuchronnie produkuje zbiorową nieracjonalność. Iran z żelazną konsekwencją buduje warstwowe odstraszanie, widząc w nim jedyną gwarancję przetrwania reżimu przed zewnętrzną interwencją. Izrael równie racjonalnie dąży do uprzedzania zagrożeń, wierząc, że tylko absolutna przewaga militarna i technologiczna powstrzyma egzystencjalną katastrofę. Arabia Saudyjska z kolei chłodno wiąże proces normalizacji z własnym bezpieczeństwem narodowym, wymagając przy tym zachowania minimalnego progu palestyńskiej legitymizacji, by nie stracić twarzy przed światem muzułmańskim. Każda z tych strategii, analizowana w izolacji, wydaje się logiczna i uzasadniona. Razem tworzą one jednak porządek, w którym nie istnieje żadna racjonalność nadrzędna, zdolna przełożyć surową siłę na trwały i sprawiedliwy pokój.

W tym miejscu pojawia się wymiar niemal profetyczny, choć do jego zrozumienia nie potrzeba żadnej mistyki, a jedynie chłodnej obserwacji instytucji i ich dynamiki. Region będzie prawdopodobnie nadal dryfował ku modelowi, w którym pokój formalny i wojna realna staną się od siebie niemal całkowicie nieodróżnialne. Porozumienia będą uroczyście podpisywane, handel między stolicami będzie rósł, a systemy obrony powietrznej zostaną zmodernizowane za miliardy dolarów. Jednocześnie jednak Zachodni Brzeg będzie podlegał postępującej fragmentacji, Gaza pozostanie laboratorium humanitarnej katastrofy, a Liban utknie w roli zakładnika podwójnej suwerenności. W tym samym czasie irański program nuklearny będzie trwał jako byt jednocześnie

uszkodzony i nie do końca poznany przez zachodnie wywiady. To nie jest wizja melodramatyczna, lecz najbardziej realistyczny wariant świata, w którym wszyscy nauczyli się administrować konfliktem, ale nikt nie potrafi zaryzykować porządku politycznego zdolnego ten konflikt ostatecznie zamknąć.

Tak właśnie domyka się główna teza niniejszego materiału, rzucając światło na mechanizmy, których nie widać z poziomu dyplomatycznych komunikatów. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz nową ontologią zagrożenia, w której stare spory zostały przetworzone w złożone instrumenty nacisku i handlu bezpieczeństwem. Pierścień Ognia, czyli irańska architektura wojny pośredniej opartej na sieci lojalnych milicji, nie jest metaforą przesadną, lecz precyzyjną nazwą dla doktryny osaczania przeciwnika. Porozumienia Abrahamowe, czyli układy normalizujące relacje Izraela z częścią państw arabskich, nie są iluzją, ale nie stanowią też rozwiązania samowystarczalnego dla regionalnych bolączek. Sprawa palestyńska nie umarła, jak chcieliby niektórzy optymiści, lecz po prostu zmieniła tryb swojej obecności w globalnej świadomości. Kto tego nie dostrzega, ten myli mapę z mechanizmem, a na Bliskim Wschodzie to właśnie mechanizm, nie mapa, decyduje dziś o losie milionów ludzi.

W polityce tego regionu kryje się głęboka ironia, której często nie dostrzega umysł zbyt mocno przywiązany do uproszczonych, gazetowych etykiet. Bliski Wschód nie cierpi dziś wcale na brak planów pokojowych, lecz na paraliżujący nadmiar planów całkowicie ze sobą niekompatybilnych. Izrael domaga się bezpieczeństwa bez strategicznej kapitulacji, podczas gdy Palestyńczycy pragną państwowości bez dalszego rozcieńczania własnej podmiotowości politycznej. Iran chce skutecznego odstraszania bez ryzykowania wojny totalnej na własnym terytorium, a Stany Zjednoczone marzą o utrzymaniu wpływów bez pełnoskalowego ponownego uwikłania w lądowe konflikty. Właśnie dlatego Nowy Bliski Wschód przypomina coraz mniej klasyczny układ sił, a coraz bardziej rynek sprzecznych polis ubezpieczeniowych, w którym każdy aktor kupuje sobie czas cudzym kosztem. Tę logikę dobrze oddaje złudzenie zarządzania konfliktem, które zamiast gasić pożary, jedynie przesuwa ich ogniska w czasie i przestrzeni.

Kluczem do zrozumienia tej sytuacji jest ekonomia wojny, ponieważ kto mówi o konflikcie wyłącznie w języku tożsamości, ten widzi tylko połowę mechanizmu. Dzisiejsza architektura przemocy w regionie jest również skomplikowanym układem kosztów krańcowych, asymetrii inwestycji oraz różnicy między wydatkiem ofensywnym a defensywnym. Iran, inwestując w relatywnie tanie drony, rakiety i korytarze logistyczne, osiąga efekt strategiczny znacznie mniejszym nakładem środków niż Izrael. Jerozolima musi bowiem utrzymywać niezwykle drogie systemy przechwytywania, gotowość na wielu frontach jednocześnie oraz kosztowną, stałą mobilizację społeczną. Nie romantycy wywołują wszystkie wojny, czasem wywołują je księgowi

katastrofy, którzy potrafią policzyć, że atakujący asymetrycznie może zmusić bogatszego przeciwnika do wyniszczającej konsumpcji zasobów. Teheran kapitalizuje rozpad sąsiednich państw, zamieniając geopolityczne peryferie w mnożnik własnej siły, co stanowi klasyczny problem ekonomii bezpieczeństwa.

Stąd bierze się szczególna funkcja Hezbollahu, który w tym układzie nie jest po prostu sojusznikiem Iranu, lecz strategicznym instrumentem wyceny ryzyka. Każdy poważny plan uderzenia na irańskie zdolności wzbogacania uranu musi zakładać nie tylko ocenę szkód w instalacjach takich jak Natanz czy Fordo, ale także wycenę odpowiedzi pośredniej. W czerwcu 2025 roku IAEA potwierdziła szkody w irańskich obiektach, raportując stan infrastruktury po serii uderzeń, przy czym równolegle podkreślała drastyczne ograniczenia własnej wiedzy operacyjnej. Późniejszy raport agencji z lutego 2026 roku przypominał już wprost, że po atakach wstrzymano wszelkie czynności weryfikacyjne, a inspektorzy zostali wycofani ze względów bezpieczeństwa. To jest punkt kluczowy dla zrozumienia obecnego impasu, w którym im mniej przejrzystości w działaniach nuklearnych, tym wyższa staje się strategiczna wartość pełnomocników zdolnych narzucić przeciwnikowi paraliżującą niepewność.

Wojna z Iranem nie jest więc zwykłą alternatywą między działaniem a zaniechaniem, lecz tragicznym wyborem między różnymi postaciami strategicznej niewiadomej. Uderzenie militarne może spowolnić program nuklearny i zniszczyć wirówki, ale zarazem może rozproszyć zasoby, ograniczyć monitoring międzynarodowy i podnieść premię za nuklearny blef. Z kolei brak uderzenia pozwala Iranowi na dalszą, spokojną akumulację materiału rozszczepialnego, co w czerwcu 2025 roku doprowadziło do produkcji uranu wzbogaconego do poziomu 60 procent. Z punktu widzenia teorii odstraszania oznacza to niebezpieczne przejście od sporu o realne zdolności do sporu o samą wiarygodną wiedzę o tych zdolnościach. W języku socjologii przemocy oznacza to przejście od incydentu do wzorca, w którym spór o wiedzę bywa znacznie bardziej ryzykowny niż spór o samą broń. Ostatecznie to właśnie ta niepewność, a nie liczba głowic, staje się najpotężniejszą walutą w brutalnej grze o dominację nad przyszłością regionu.

Zachodni Brzeg jako strategiczny dług Izraela

Błędem kategorii byłoby mniemanie, że to, co dzieje się na Zachodnim Brzegu, pozostaje w sterylnej izolacji od szerszej architektury bezpieczeństwa Bliskiego Wschodu. Dzisiejsza polityka Izraela wobec terytoriów palestyńskich stała się bowiem kluczowym parametrem, który wyznacza realną cenę jego regionalnych ambicji. Każdy krok w stronę de facto aneksji systematycznie drenuje kapitał zaufania niezbędny do zbliżenia z państwami arabskimi, jednocześnie zasilając narracyjne

paliwo Iranu. Reuters relacjonował w lutym 2026 roku decyzje izraelskiego gabinetu dotyczące rejestracji gruntów, które przez stronę palestyńską zostały uznane za ostateczne domknięcie procesu przejmowania kontroli. Dla części zachodnich sojuszników te działania stały się sygnałem alarmowym, podważającym fundamenty przyszłego pokoju i zmuszającym do rewizji dotychczasowego wsparcia. Ostatecznie nie jest to jedynie spór o semantykę, lecz fundamentalny konflikt o to, czy Izrael pozostanie państwem w stanie wyższej konieczności, czy też architektem trwałej dominacji.

W tym ujęciu Zachodni Brzeg stanowi laboratorium, w którym ścierają się korzyści krótkiego trwania z nieuchronnymi kosztami długiego trwania. Choć ekspansja osadnicza i administracyjne rozszczepianie przestrzeni palestyńskiej mogą doraźnie cementować izraelską kontrolę nad terenem, to w perspektywie strategicznej kruszą one fundamenty legitymacji państwa. Taka polityka podkopuje nie tylko mityczne już niemal rozwiązanie dwupaństwowe, ale przede wszystkim język, którym Izrael porozumiewa się ze swoimi najważniejszymi partnerami. Kiedy Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w lipcu 2024 roku uznał charakter izraelskiej obecności za bezprawny, nie uruchomił natychmiastowych mechanizmów przymusu, lecz stworzył trwałą ramę prawną. Z czasem ta konstrukcja może przeobrazić się w system sankcji i postępowań, które skutecznie wyczerpią dyplomatyczną cierpliwość sojuszników. Prawo międzynarodowe nie zawsze działa jak miecz; czasem działa jak dług, który lubi wracać w najmniej dogodnym momencie.

Wymiar społeczny i humanitarny tej sytuacji nie jest jedynie tłem dla wielkiej gry mocarstw, lecz jej integralnym, wybuchowym elementem. Dane raportowane przez ONZ i agencję Reuters w 2026 roku, mówiące o dziesiątkach tysięcy Palestyńczyków przesiedlonych wskutek presji osadniczej, kreślą obraz systematycznego wzorca, a nie serii niefortunnych incydentów. W języku antropologii politycznej obserwujemy tu dramatyczną zmianę relacji człowieka z terytorium, gdzie zamieszkiwanie zostaje zastąpione przez warunkowe przebywanie pod stałym nadzorem. Takie praktyki, interpretowane w kategoriach prawnych jako systemowe pozbawianie własności i bezpieczeństwa, niosą ze sobą ryzyko nieuchronnej odpowiedzialności międzynarodowej. Z perspektywy czystej strategii każda rodzina zmuszona do opuszczenia swojego domu przestaje być statystyką, a staje się żywym ogniwem przyszłej infrastruktury gniewu. Nie romantycy wywołują wszystkie wojny; czasem wywołują je księgowi katastrofy, którzy w bilansie zysków i strat pominęli koszt ludzkiej rozpaczy.

Koniec iluzji: Dlaczego Porozumienia Abrahamowe nie wystarczą

Porozumienia Abrahamowe powracają dziś jako przedmiot chłodnej wiwisekcji, choć ich pierwotny sens wykraczał daleko poza przełamywanie dyplomatycznych tabu świata arabskiego. Stanowiły one ambitną próbę sformatowania nowego, regionalnego obiegu korzyści, w którym Izrael dostarczałby zaawansowaną technologię oraz wywiad, natomiast państwa arabskie wnosiłyby kapitał i strategiczne położenie. Ten model współpracy gospodarczo-bezpieczeństwowej wciąż funkcjonuje w określonych niszach, niemniej przestał być postrzegany jako układ w pełni samowystarczalny. Arabia Saudyjska z żelazną konsekwencją podtrzymuje bowiem warunek, że pełna normalizacja z Tel Awiwem wymaga wytyczenia realnej ścieżki do palestyńskiej państwowości. Oznacza to, że największy geopolityczny bonus pozostaje zakładnikiem kwestii, którą wielu izraelskich realistów pragnęło zdegradować do roli marginalnego problemu administracyjnego. Historia bywa jednak złośliwa, toteż to, co miało zostać zepchnięte na pobocze, powróciło jako fundamentalny warunek zdobycia strategicznego jackpotu.

Współczesny paradygmat analityczny coraz wyraźniej dostrzega, że stara teza o utracie centralnego znaczenia konfliktu izraelsko-palestyńskiego była przedwczesna i intelektualnie ryzykowna. Choć rywalizacja z Iranem oraz modernizacyjne ambicje monarchii Zatoki zdominowały nagłówki, Palestyna wciąż pozostaje kluczowym testem normatywnej spójności całego regionu. Iran nie jawi się już wyłącznie jako ideologiczny wichrzyciel, lecz jako gracz racjonalnie kolonizujący luki w kruchym porządku bliskowschodnim. Izrael z kolei funkcjonuje w tej układance jako państwo o realnych zagrożeniach, które jednocześnie wykazuje rosnącą skłonność do praktyk kontroli generujących wysokie koszty polityczne. Koncepcja Dobrego Państwa porusza się właśnie w tej dojrzałej ramie interpretacyjnej, broniąc tezy, że tego węzła nie da się przeciąć ani sentymentem, ani technologią. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi nową ontologię zagrożenia, wymagającą od nas porzucenia uproszczonych schematów.

Najbardziej niepokojąca konkluzja płynąca z obserwacji regionu dotyczy jednak sposobu, w jaki poszczególni aktorzy postrzegają i wykorzystują upływający czas. Wszystkie strony nauczyły się myśleć temporalnie, przy czym każda z nich operuje w zupełnie innym rytmie i z odmiennym horyzontem zdarzeń. Iran cierpliwie gra na długofalowe zużycie przeciwnika, podczas gdy Izrael koncentruje się na ciągłym opóźnianiu momentu dojrzewania egzystencjalnych zagrożeń. Oficjalna scena palestyńska trwa jedynie siłą inercji, natomiast Hamas cynicznie inwestuje w humanitarną katastrofę jako jedyny dostępny katalizator procesów politycznych. Państwa Zatoki próbują kupować strategiczny czas poprzez dywersyfikację sojuszy, a Stany Zjednoczone dążą do

zachowania wpływów przy drastycznym obniżeniu kosztów zaangażowania. W efekcie nikt nie projektuje już wspólnego jutra, gdyż wszyscy gracze zajęci są wyłącznie desperackim przesuwaniem granic własnego dzisiaj.

Tak skonstruowany porządek, choć na pierwszy rzut oka może wydawać się stabilny, w rzeczywistości stanowi przykład toksycznej stabilności, która karmi się złudzeniami. Jest to system działający tylko dopóty, dopóki każda ze stron wierzy, że jest w stanie wytrzymać jeszcze jeden cykl napięć. Bliski Wschód wszedł w epokę, w której klasyczne wojny o granice zostały zastąpione przez coraz doskonalsze mechanizmy redystrybucji ryzyka strategicznego. Pierścień Ognia, czyli budowana przez Teheran sieć zbrojnych sojuszników, pozwala redystrybuować ryzyko bezpośredniego starcia z Iranu na obrzeża Izraela. Izraelska polityka na Zachodnim Brzegu przesuwa natomiast ciężar odpowiedzialności z teraźniejszości na przyszłe pokolenia oraz na coraz trudniejsze relacje z zachodnimi sojusznikami. W takim układzie najmniej bezpieczny bywa nie ten, kto dysponuje najmniejszym arsenałem, lecz ten, kto najdłużej wierzy w możliwość odkładania rozwiązań politycznych.

Bezpośrednia konfrontacja między Iranem, Izraelem a Stanami Zjednoczonymi nie była wynikiem pojedynczego błędu, lecz splotem trzech narastających przez lata procesów. Pierwszym z nich był irański program nuklearny, drugim zaś konsekwentne zaciskanie wokół Izraela pętli presji militarnej przez proirańskie bojówki. Trzecim czynnikiem stało się ostateczne załamanie wiary w skuteczność wojny w cieniu, czyli modelu konfliktu opartego na sabotażu i operacjach tajnych. W czerwcu 2025 roku Izrael zdecydował się na bezpośrednie uderzenie w cele na terytorium Iranu, co zmusiło USA do wejścia do wojny. Atak na trzy główne irańskie obiekty nuklearne oznaczał definitywne przejście od długiej, zimnej konfrontacji do otwartego i nieprzewidywalnego starcia mocarstw. To nie romantycy wywołują wszystkie wojny, czasem wywołują je księgowi katastrofy, którzy błędnie oszacowali próg wytrzymałości całego systemu.

Najgłębszą przyczyną tej eskalacji była logika bezpieczeństwa obu państw, która od dawna pozostawała w stanie fundamentalnej i wzajemnej sprzeczności. Dla Izraela perspektywa Iranu dysponującego bronią jądrową stanowiła zagrożenie egzystencjalne, którego nie można było zaakceptować w żadnej konfiguracji politycznej. Dla Teheranu z kolei program nuklearny oraz sieć regionalnych sojuszników były polisą przetrwania reżimu i niezbędnym narzędziem odstraszania zewnętrznej agresji. Kiedy jedna strona uznaje zdolności przeciwnika za nieakceptowalne, a druga widzi w nich warunek własnego istnienia, konflikt zamienia się w pułapkę mechaniki. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej alarmowała, że Iran gromadził uran wzbogacony do poziomu 60 procent, co drastycznie zwiększało poczucie zagrożenia u jego sąsiadów. W takim

systemie wystarczy już tylko konsekwencja w działaniu, by doprowadzić do wybuchu, który unieważnia dotychczasowe kalkulacje.

Upadek wojny w cieniu i bezpośrednia interwencja Waszyngtonu

Drugim czynnikiem stał się paraliż modelu wojny w cieniu, czyli specyficznej formy konfliktu opartego na sabotażu i działaniach przez pośredników. Przez dekady Izrael i Iran tkwiły w tym uścisku, w którym Jerozolima uderzała w transporty broni, a Teheran odpowiadał rękami Hezbollahu czy Huti. System ten pozwalał obu stronom na zadawanie bólu przy unikaniu otwartej wojny państwowej. Niestety mechanizm ten posiadał genetyczną wadę, gdyż każdy kolejny incydent podnosił poprzeczkę i oswajał decydentów z ryzykiem. Gdy 13 czerwca 2025 roku Reuters donosił o ataku na Iran, stało się jasne, że doktryna zarządzanej niestabilności dobiła do ściany. To nie była już korekta, lecz założenie, że tylko bezpośredni cios może zmienić trajektorię zagrożenia.

Trzecią przyczyną eskalacji była spektakularna porażka dyplomacji nuklearnej, która okazała się zbyt krucha, by powstrzymać logikę prewencji. W chwili, gdy izraelskie maszyny znajdowały się nad celem, wciąż tliły się wszak resztki nadziei na porozumienie, a kanały komunikacji USA z Iranem pozostawały teoretycznie otwarte. Jak odnotował Reuters, to Oman poinformował o odwołaniu negocjacji tuż po rozpoczęciu izraelskiej ofensywy. Fakt ten pokazuje, że wojna nie wybuchła w próżni dyplomatycznej, lecz w samym sercu jej niemocy. Rozmowy nie załamały się wyłącznie przez wybuch walk; walki wybuchły, ponieważ dyplomacja przestała pełnić funkcję wiarygodnego bezpiecznika. W języku socjologii przemocy oznacza to przejście od incydentu do wzorca.

Czwartym filarem katastrofy była ewolucja roli Stanów Zjednoczonych, które przestały być jedynie biernym sponsorem Izraela. Waszyngton występował bowiem w potrójnej roli: jako gwarant bezpieczeństwa sojusznika, przeciwnik irańskiej militaryzacji nuklearnej oraz uczestnik rozmów ograniczających ambicje Teheranu. Kiedy Izrael zdecydował się na konfrontację, Biały Dom stanął przed klasycznym dylematem hegemonicznego sojusznika. Amerykańscy stratedzy musieli rozstrzygnąć, czy ograniczyć się do wsparcia politycznego, czy też wejść do gry bezpośrednio, by zniszczyć najtwardsze cele. Ostatecznie 22 czerwca 2025 roku USA uderzyły w instalacje w Natanz, Isfahanie i Fordo. Agencje AP i Reuters opisały to jako przełom, w którym Stany Zjednoczone oficjalnie włączyły się do wojny, zmieniając ontologię zagrożenia w regionie.

Logika katastrofy: Dlaczego system bezpieczeństwa Bliskiego Wschodu upadł

Piątym filarem tej tragedii okazała się sama architektura regionu, który od dekad funkcjonuje niczym skomplikowany system przeciążeń, gdzie każda lokalna awaria grozi globalnym zwarciem. Upadek struktur państwowych, rozrost aktorów niepaństwowych oraz bezwzględna rywalizacja o korytarze logistyczne stworzyły środowisko, w którym dawne amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa zaczęły tracić swoją walutę. W tym nowym krajobrazie Iran konsekwentnie budował strategię odstraszania wokół swoich granic, tworząc gęstą sieć zależności i wpływów. Izrael z kolei, wierny doktrynie Żelaznego Muru, czyli przekonaniu, że tylko demonstracja nieugiętej siły zmusi wrogów do akceptacji jego istnienia, systematycznie próbował tę konstrukcję demontować. Taka gra w przesuwanie granic mogła trwać latami, lecz w systemie nasyconym rakietami każda iskra ma potencjał detonatora. Gdy jeden z graczy uznał, że przeciwnik niebezpiecznie zbliżył się do czerwonej linii, przejście do otwartej wojny stało się niemal matematyczną koniecznością.

Istnieje również przyczyna szósta, intelektualnie najbardziej frapująca dla analityka systemów międzynarodowych. Wojna wybuchła paradoksalnie dlatego, że wszystkie zaangażowane strony uwierzyły, iż dalsza zwłoka i dyplomatyczne wyczekiwanie są obarczone większym ryzykiem niż gwałtowna eskalacja. Izrael doszedł do wniosku, że czas stał się najcenniejszym zasobem Iranu, pozwalającym mu na ostateczne domknięcie parasola nuklearnego. Teheran z kolei uznał, że jakiekolwiek cofnięcie się pod presją militarną oznaczałoby nieodwracalną utratę wiarygodności i zaproszenie do kolejnych ataków. Nawet Waszyngton przyjął logikę, według której niedokończenie izraelskiego uderzenia na kluczowe obiekty byłoby gorsze w skutkach niż bezpośrednie zaangażowanie militarne. To klasyczny moment, w którym chłodna kalkulacja bezpieczeństwa rodzi konflikt właśnie dlatego, że każdy uczestnik uważa się za twardego realistę. Nie romantycy wywołują wszystkie wielkie wojny; czasem robią to po prostu księgowi katastrofy.

Najkrótsza odpowiedź na pytanie o genezę tego starcia sprowadza się do stwierdzenia, że wieloletni spór o irański program atomowy i regionalną sieć pełnomocników osiągnął masę krytyczną. Przez lata sabotaż, punktowe uderzenia i skomplikowane negocjacje pozwalały utrzymywać napięcie na poziomie akceptowalnym dla światowych rynków. Jednak w czerwcu 2025 roku te narzędzia przestały wystarczać, a Izrael uderzył, uznając zagrożenie za dojrzewające do poziomu, którego nie da się już zignorować. Iran odpowiedział z pełną mocą, ponieważ musiał ratować fundamenty własnego odstraszania, bez którego reżim poczułby się całkowicie bezbronny. Stany Zjednoczone włączyły się do działań operacyjnych, dochodząc do wniosku, że bez ich potencjału technologicznego nie uda się skutecznie porazić najgłębiej ukrytych instalacji nuklearnych.

Najbardziej ponura konkluzja płynąca z analizy tych wydarzeń sugeruje, że wojna ta wcale nie była nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy dyplomatów. Stanowiła ona raczej logiczny produkt systemu, w którym każdy z uczestników przez lata inwestował wyłącznie w siłę militarną, zaniedbując budowę jakiegokolwiek ładu politycznego. Bliski Wschód udowodnił, że gdy polityka międzynarodowa zamienia się w cyniczne zarządzanie progiem bólu, prędzej czy później ktoś ten próg przestaje respektować. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi nową ontologię zagrożenia, w której niepewność jest jedyną stałą. Brak mechanizmów deeskalacyjnych sprawił, że racjonalne dążenie do bezpieczeństwa każdego z państw z osobna doprowadziło do zbiorowej katastrofy całego regionu. W świecie pozbawionym zaufania każda próba obrony jest odczytywana jako zapowiedź ostatecznego ataku.

Z perspektywy europejskich stolic ta wojna nie była nagłym wybuchem emocji na odległym teatrze działań wojennych, lecz przewidywalnym załamaniem się systemu bezpieczeństwa. Konstrukcja ta trwała tylko dzięki zbiorowej wierze w możliwość kontrolowania każdego szczebla eskalacji, co okazało się tragicznym błędem w obliczu narastających napięć. Izrael żył w przekonaniu, że może bez końca opóźniać irańskie ambicje za pomocą precyzyjnego sabotażu i punktowych uderzeń wywiadowczych. Iran z kolei uważał, że rozproszenie infrastruktury oraz rozbudowa arsenału rakietowego i dronowego zapewnią mu nietykalność w obliczu zewnętrznej agresji. Stany Zjednoczone łudziły się, że da się jednocześnie bezwarunkowo wspierać sojusznika, skutecznie odstraszać Teheran i prowadzić subtelną dyplomację nuklearną. Europa natomiast liczyła na to, że język deeskalacji i odwołania do prawa międzynarodowego wystarczą, by powstrzymać marsz ku przepaści.

W czerwcu 2025 roku ta misterna konstrukcja, oparta na pobożnych życzeniach i wzajemnym oszukiwaniu się, ostatecznie rozsypała się w pył. Izrael rozpoczął zmasowane ataki na cele w głębi terytorium Iranu 13 czerwca, co natychmiast uruchomiło reakcję łańcuchową w całym regionie. Zaledwie dziewięć dni później, 22 czerwca, lotnictwo Stanów Zjednoczonych uderzyło w kluczowe węzły programu nuklearnego w Fordow, Natanz oraz Isfahanie. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej potwierdziła trafienie tych obiektów, co stało się symbolicznym końcem ery nadzoru nad proliferacją broni masowego rażenia. Wojna brutalnie przerwała normalne działania weryfikacyjne Agencji, pozostawiając społeczność międzynarodową w próżni informacyjnej dotyczącej rzeczywistego stanu irańskich zapasów uranu. To, co miało być chirurgicznym cięciem, szybko zamieniło się w otwartą ranę, której nie potrafiły opatrzyć żadne międzynarodowe instytucje.

W ujęciu nauki o stosunkach międzynarodowych pierwotną przyczyną konfliktu był klasyczny dylemat bezpieczeństwa, czyli sytuacja, w której defensywne zbrojenia jednej strony są odbierane jako przygotowania do agresji. Dla Teheranu rozwijanie programu nuklearnego oraz budowa

"pierścienia ognia" wokół Izraela miały być polisą przetrwania reżimu przed ewentualną próbą jego obalenia. Jednak dla Jerozolimy ten sam zestaw działań wyglądał jak systematyczne przygotowywanie gruntu pod ostateczne uderzenie, którego nie da się powstrzymać tradycyjnymi metodami. Gdy Europejska Rada pod koniec czerwca 2025 roku powtarzała rytualne formuły o konieczności powrotu do dyplomacji, występowała już w roli spóźnionego strażaka. Unia Europejska doskonale rozumiała naturę problemu, lecz nie posiadała żadnych realnych instrumentów, by zatrzymać moment, w którym Izrael uznał czekanie za bardziej ryzykowne niż wojna.

Druga przyczyna miała charakter operacyjny i wynikała z wyczerpania się formuły konfliktu, który przez lata toczył się poniżej progu otwartej wojny. Ta wojna w cieniu, oparta na niszczeniu transportów broni, sabotażu i uderzeniach w infrastrukturę, dawała wszystkim stronom złudne poczucie kontroli. Izrael niszczył, Iran odpowiadał poprzez Hezbollah czy szyickie milicje, a świat przyzwyczajał się do tej brutalnej, lecz przewidywalnej choreografii przemocy. W rzeczywistości jednak każda kolejna runda tej gry zwiększała tolerancję na ryzyko i przyzwyczajała decydentów do coraz ostrzejszych środków. Z perspektywy europejskiej największym problemem był fakt, że ten mechanizm nie posiadał żadnego politycznego wyjścia awaryjnego ani bezpiecznika. Gdy system przez lata funkcjonuje w trybie "jeszcze nie wojna", niemal zawsze kończy w trybie "już wojna", tracąc zdolność do jakiejkolwiek autoregulacji.

Trzecia przyczyna dotyczyła ewolucji samego programu nuklearnego, który z problemu technicznego stał się wyzwaniem o charakterze egzystencjalnym. Europa tradycyjnie patrzy na kwestię zbrojeń przez pryzmat inspekcji, reżimów nieproliferacyjnych i wielostronnych traktatów, które mają gwarantować przejrzystość intencji. Problem polega na tym, że taki model współpracy działa tylko wtedy, gdy inspektorzy mają fizyczny dostęp do obiektów, a strony widzą korzyść w ujawnianiu danych. Tymczasem raport IAEA z lutego 2026 roku stwierdził jednoznacznie, że po czerwcowych atakach Agencja przestała prowadzić jakiekolwiek skuteczne działania weryfikacyjne na terytorium Iranu. Brak możliwości sprawdzenia stanu wirówek czy wielkości zapasów uranu stworzył sytuację, w której niepełna wiedza stała się bardziej destabilizująca niż najgorsza prawda. Wojna nie rozwiązała więc problemu nuklearnego, lecz zmieniła jego naturę, zamieniając konkretne pytanie o potencjał w dręczące pytanie o to, czego świat już nie potrafi sprawdzić.

Ekonomiczne koszty wojny: Europa w cieniu bliskowschodniego ryzyka

Czwarta przyczyna, choć zrodzona w Waszyngtonie, rezonuje w Europie z siłą tektonicznego tąpnięcia. Amerykańskie zaangażowanie militarne nie wynika bowiem z nagłego porzucenia dyplomacji na rzecz kaprysu, lecz z głębokiego, strukturalnego uwikłania w bezpieczeństwo Izraela oraz system bliskowschodniego odstraszania. Gdy izraelska ofensywa nabrała tempa, Biały Dom stanął przed dylematem: pozwolić Tel Awiwowi na samotne uderzenie w najtwardsze cele nuklearne czy też uruchomić własny arsenał, by zagwarantować pełną skuteczność operacji. Atak z 22 czerwca 2025 roku rozwiał te wątpliwości, dowodząc, że globalny hegemon nie akceptuje półśrodków w kwestiach ostatecznych. Reakcja Teheranu, odnotowana przez agencję Reuters jako uderzenie w bazę w Katarze przy jednoczesnym oszczędzeniu cieśniny Ormuz, stanowiła lekcję pragmatyzmu w cieniu apokalipsy. Choć Iran uniknął strategicznego samobójstwa, co uspokoiło rynki, dla Europy był to sygnał upokarzający: o progu wojny u jej bram decyduje trójkąt Waszyngton–Tel Awiw–Teheran, podczas gdy Bruksela pozostaje jedynie widzem tego spektaklu siły.

Z perspektywy ekonomicznej ten konflikt jest klasycznym przykładem próby przerzucenia kosztów ryzyka na barki przeciwnika. Iran od lat doskonalił model wojny w cieniu, czyli konfliktu opartego na sabotażu i operacjach tajnych, który ostatecznie ewoluował w otwartą konfrontację. Rakiety, roje dronów oraz destabilizacja szlaków żeglugowych to narzędzia asymetryczne, zmuszające oponentów do nieproporcjonalnie drogiej obrony. Jak przypominał Reuters w dniu izraelskiego ataku, Iran, produkujący wówczas 3,3 miliona baryłek ropy dziennie, trzymał rękę na pulsie światowej gospodarki. Sama groźba uderzenia w irańską infrastrukturę energetyczną wystarczyła, by cena ropy Brent skoczyła o siedem procent, co dowodzi, że nowoczesna gospodarka nie musi zostać fizycznie zniszczona, by doznać dotkliwych obrażeń. Europejczycy, pamiętający kryzys gazowy wywołany przez Rosję, wiedzą już, że w dobie globalnych współzależności to nie pociski, lecz premia za strach staje się najskuteczniejszą bronią w arsenale współczesnych agresorów.

Tu właśnie dotykamy najbardziej wrażliwego nerwu kontynentu, gdzie geopolityka spotyka się z portfelem przeciętnego obywatela. Choć Europa zdołała poluzować pętlę uzależnienia od rosyjskiego gazu, wciąż pozostaje zakładnikiem globalnych wstrząsów cenowych i zakłóceń w łańcuchach dostaw. EBC w swoich prognozach z kwietnia 2026 roku nie pozostawiał złudzeń: bliskowschodni pożar to prosta droga do inflacji przekraczającej cel dwóch procent oraz widmo recesji, o którym lojalnie uprzedzał prezes greckiego banku centralnego. Scenariusz, w którym baryłka ropy przekracza 150 dolarów, przestał być jedynie symulacją, stając się realnym

zagrożeniem dla stabilności strefy euro. Co prawda Reuters uspokajał pod koniec 2025 roku, że czerwcowy skok cen okazał się przejściowy, niemniej samo istnienie takiej ewentualności jest formą szantażu. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz nową ontologią zagrożenia, w której region ten może terroryzować światową gospodarkę samą obietnicą chaosu.

Europejska porażka: Od normatywnej potęgi do braku sprawczości

Dyplomatyczny wymiar tej wojny stanowi bolesne świadectwo europejskiej niemocy, choć błędem byłoby zarzucanie Brukseli całkowitej bierności w obliczu narastającego chaosu. Unia Europejska już w połowie czerwca 2025 roku sformułowała poprawne apele o poszanowanie prawa międzynarodowego oraz powściągliwość, starając się desperacko uniknąć widma skażenia radiologicznego w regionie. Ministrowie spraw zagranicznych debatowali z właściwą sobie powagą, jednak ich wysiłki przypominały próbę gaszenia pożaru lasu za pomocą eleganckiego protokołu dyplomatycznego. Problem tkwił w tym, że europejska dyplomacja, choć nienaganna w formie, okazała się całkowicie niesuwerenna strategicznie w obliczu brutalnych faktów dokonanych. Europa nie posiadała bowiem żadnych realnych narzędzi nacisku, które mogłyby wpłynąć na decyzję Izraela o ataku, determinację Waszyngtonu do wsparcia sojusznika czy późniejszy odwet Teheranu. To klasyczna, niemal podręcznikowa ilustracja rozziewu między mocą normatywną a mocą sprawczą, gdzie ta pierwsza pozwala jedynie na opisywanie pożądanego świata, podczas gdy druga decyduje o jego faktycznym kształcie. Stary Kontynent potrafi z maestrią kreślić wizje idealnego porządku, lecz wciąż nie nauczył się, jak skutecznie dyscyplinować tych, którzy ten porządek postanowili właśnie zburzyć.

Wojna ta z bezlitosną precyzją obnażyła również głębokie pęknięcia wewnątrz samego fundamentu zachodniego sojuszu, podważając mit o jego monolitycznej jedności. Już w 2026 roku doniesienia medialne wskazywały na narastające napięcia między europejskimi członkami NATO a Stanami Zjednoczonymi, dotyczące tak fundamentalnych kwestii jak dostęp do baz lotniczych czy udostępnienie przestrzeni powietrznej dla operacji przeciwko Iranowi. Ten spór, choć ujawniony z pewnym opóźnieniem, jest niezwykle pouczający, gdyż ukazuje fundamentalny paradoks europejskiej polityki bezpieczeństwa. Europa pragnie bowiem nieustannie korzystać z amerykańskiego parasola strategicznego, a jednocześnie wzdraga się przed automatycznym udziałem w każdej operacji inicjowanej przez Waszyngton. Z perspektywy nauki o wojskowości mamy do czynienia z sytuacją skrajnie niebezpieczną, ponieważ obnaża ona drastyczny rozjazd

między formalną strukturą sojuszu a rzeczywistą wolą polityczną jego kluczowych uczestników. W kategoriach dyplomatycznych obraz ten wygląda jeszcze gorzej, dowodząc, że Europa nie wypracowała ani pełnej autonomii strategicznej, ani nie zachowała spójności atlantyckiej. Pozostaje ona w kłopotliwym stanie przejściowym, będąc potęgą gospodarczą, która w momentach próby przestaje być podmiotem geopolitycznym.

Najważniejsza lekcja płynąca z tego konfliktu jest brutalnie prosta i uderza w same podstawy europejskiego postrzegania świata. Przez dekady stolice europejskie traktowały Bliski Wschód jako kryzys zewnętrzny, który można bezpiecznie amortyzować za pomocą rytualnych komunikatów, punktowych sankcji czy ograniczonych misji morskich. Tymczasem obecna konfrontacja udowodniła, że region ten nie jest egzotycznym peryferium, lecz integralną częścią europejskiego teatru bezpieczeństwa rozszerzonego. Nie wynika to bynajmniej z geograficznej bliskości Teheranu, lecz z faktu, że energia, bezpieczeństwo żeglugi, inflacja oraz stabilność rynków finansowych są naczyniami połączonymi. Europejska Służba Działań Zewnętrznych już wcześniej próbowała budować wiarygodność poprzez obecność w cieśninie Ormuz, jednak dopiero pełnoskalowa wojna zweryfikowała te ambicje. Dla Europy ten konflikt nie jest odległym widowiskiem, lecz ostatecznym egzaminem z umiejętności syntezy potencjału militarnego, ekonomicznego i dyplomatycznego w jedną, spójną strategię. Zamiast osobno pisać deklaracje i z lękiem liczyć koszty cudzych działań, kontynent musi wreszcie zrozumieć, że jego własne bezpieczeństwo rozstrzyga się dziś daleko poza jego granicami.

Dlaczego zatem, patrząc z perspektywy europejskich interesów, doszło do tej katastrofy, której nikt w Brukseli nie potrafił zapobiec? Odpowiedź tkwi w jednoczesnej awarii trzech kluczowych bezpieczników systemu międzynarodowego: wojskowego, ekonomicznego oraz dyplomatycznego. Bezpiecznik wojskowy zawiódł, ponieważ dylemat bezpieczeństwa między Izraelem a Iranem osiągnął punkt krytyczny, w którym uderzenie wyprzedzające zaczęło być postrzegane jako jedyna racjonalna opcja przetrwania. Mechanizm ekonomiczny również nie zadziałał, gdyż aktorzy regionalni nauczyli się wykorzystywać globalną wrażliwość na ceny energii jako skuteczne narzędzie szantażu i projekcji siły. Najbardziej dotkliwa była jednak porażka dyplomatyczna, gdzie instytucje międzynarodowe i europejskie próby mediacji okazały się zbyt słabe wobec determinacji graczy przekonanych, że czas działa na ich niekorzyść. Wojna nie wybuchła dlatego, że dyplomaci milczeli, lecz dlatego, że ich głos nie posiadał żadnego ciężaru gatunkowego w kalkulacjach tych, których można nazwać księgowymi katastrofy. Europa nie dysponowała wystarczającą siłą, by rozbroić wnioski płynące z analiz wojskowych i ekonomicznych, które pchnęły region ku otwartej konfrontacji.

Niewygodna konkluzja dla Starego Kontynentu brzmi następująco: ta wojna jest przede wszystkim spektakularną europejską porażką poznawczą. Przez lata żyliśmy w złudnym przekonaniu, że bezpieczeństwo można bezterminowo zlecać Ameryce, energię kupować na wolnym rynku, a porządek światowy cementować samym językiem norm. Konflikt między Iranem, Izraelem a USA brutalnie pokazał, że w świecie zdominowanym przez rakiety balistyczne, sankcje i półlegalnych pełnomocników, taki komfort po prostu przestał istnieć. Nowy Bliski Wschód nie jest bowiem po prostu nową konfiguracją sojuszy, lecz stanowi nową ontologię zagrożenia, której nie da się oswoić samą retoryką. Europa może oczywiście pozostać eleganckim notariuszem cudzych zasad i strażnikiem archiwalnych traktatów, które coraz rzadziej przystają do rzeczywistości. Jeśli jednak nie zdecyduje się zostać inżynierem własnego bezpieczeństwa, będzie skazana na rolę biernego obserwatora, który z wielką erudycją opisuje kolejne kryzysy wywoływane przez innych. W świecie, w którym prawo międzynarodowe nie zawsze działa jak miecz, lecz coraz częściej działa jak dług, brak sprawczości staje się luksusem, na który nas po prostu nie stać.

> Bliski Wschód stał się systemem naczyń połączonych, w którym każdy aktor, dążąc do suwerennego bezpieczeństwa, nieświadomie buduje fundamenty dla wspólnego upadku. Pytanie brzmi, czy w świecie, gdzie prawo międzynarodowe stało się jedynie długiem niemożliwym do spłacenia, potrafimy jeszcze wyobrazić sobie pokój wykraczający poza technokratyczne zarządzanie katastrofą? Być może to nie brak siły, lecz brak wyobraźni politycznej sprawia, że wciąż wolimy zarządzać ruinami, zamiast budować na nich cokolwiek trwałego.

Inspiracje

[1] **"Hope and Despair"** Michael A. Horowitz

Michael C. Horowitz jest wybitnym amerykańskim politologiem i naukowcem specjalizującym się w bezpieczeństwie międzynarodowym, innowacjach wojskowych oraz powiązaniach technologii z polityką zagraniczną. Obecnie pełni funkcję dyrektora Perry World House i jest profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie Pensylwanii. Horowitz jest powszechnie uznawany za badacza wpływu nowych technologii, takich jak sztuczna inteligencja i systemy autonomiczne, na globalne strategie rozwiązywania konfliktów i obrony. Jego prace często łączą rygorystyczną teorię akademicką z praktycznym zastosowaniem polityki, co wynika z zajmowanych przez niego wysokich stanowisk w Departamencie Obrony Stanów Zjednoczonych. Jest płodnym autorem, którego badania naukowe dostarczają istotnych spostrzeżeń na temat zmieniającej się natury działań wojennych, dyfuzji siły militarnej oraz geopolitycznych implikacji dynamiki podmiotów państwowych i niepaństwowych we współczesności.

Michael C. Horowitz is a prominent American political scientist and academic specializing in international security, military innovation, and the intersection of technology and foreign policy. He currently serves as the Director of the Perry World House and is a Professor of Political Science at the University of Pennsylvania. Horowitz is widely recognized for his research on how emerging technologies, such as artificial intelligence and autonomous systems, influence global conflict and defense strategy. His work often bridges the gap between rigorous academic theory and practical policy application, having served in senior roles within the U.S. Department of Defense. He is a prolific author whose scholarship provides critical insights into the changing nature of warfare, the diffusion of military power, and the geopolitical implications of state and non-state actor dynamics in the modern era.

University of Pennsylvania

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[1] "Pisma. Państwo żydowskie"

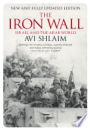
Włodzimierz (ze'ev) Żabotyński

2019 | Rozpisani.pl | ISBN: 978-83-953868-0-1

[2] "The Five"

Włodzimierz (ze'ev) Żabotyński

2005 | Lamar University Press | ISBN: 978-0966571059



[3] "The Iron Wall: Israel and the Arab World"

Avi Shlaim

2014 | Penguin UK | ISBN: 9780141976785

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "O żelaznej ścianie (O Żeleznoj Stienie)"

Włodzimierz (ze'ev) Żabotyński

1923 | Rasswiet

Google Scholar

[2] "The Ethics of Conflict: Realism and Liberalism in Zionist Thought"

Daniel Gordis

2021 | Journal of Modern Jewish Studies

Google Scholar

Tekst opracowany z udziałem sztucznej inteligencji.
Redakcja i kontrola merytoryczna: Fundacja Dobre Państwo.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 8598beec-becb-4b23-bfca-63cf7c3b4884